

Requiem dla lalek

Cezary
Zbierzchowski

**Requiem
dla lalek**



powergraph

Warszawa 2020

Copyright © 2004-2020 by Cezary Zbierzchowski
Copyright © 2020 by Powergraph
Copyright © 2020 for the cover illustration by sarah5 via PantherMedia
Copyright © 2020 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: sarah5 (PantherMedia)
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączy dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-25-0

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

Innego nie będzie

„I nawet jeśli ktoś powie jakieś słowo przeciwko Synowi człowieczemu, będzie mu to przebaczone, lecz jeśli będzie mówił przeciwko Duchowi Świętemu, nie zostanie mu to przebaczone ani w tym życiu, ani w przyszłym”.

(Mt 12,32)

Dzień, w którym nadszedł koniec świata, był słoneczny i ciepły. Pogoda w górach dopisywała całe lato. Pamiętam, że po przebudzeniu długo patrzyłem z okna pensjonatu na zieloną ścianę sosen porastających zbocze Koryni – skałpane były w blasku słońca, a ciszę sierpniowego poranka potęgowało brzęczenie owadów. Czasem z pobliskiego lasu dochodziły krzyki ptactwa kołującego nad bagnami. Tego dnia o świecie działy się rzeczy straszne. Ci, którzy przeżyli, widzieli je na własne oczy, albo częściej, jak ja, na ekranie telewizora. Nie były one jednak tak medialne, jak zapowiadała Biblia.

Cztery miesiące po apokalipsie cały świat próbuje udawać, że nie stało się nic ostatecznego. Twierdzi głośno, że dotknęła go plaga, jakich wiele spadło już na ludzkość, a z takich doświadczeń zawsze wychodzi ona z dumą, pokrzepiona

nową wiarą w człowieczeństwo. Być może tylko ja, choć wyglądam jak kloszard i wałęsam się po mieście, rozumiem, czego doświadczyliśmy. Wrażenie potwornego osamotnienia przenika mnie do głębi i nie pozwala zasnąć.

Kiedy chodzę po parku i przyglądam się spacerującym, czuję, że wpadam w obłąd. Ślady stóp na śniegu, dzieci lepiące bałwana, twarze zaczerwienione od mrozu... Radość z każdej sekundy życia, z zabawy, z wolnego czasu, jakby nic się nie zmieniło. Gdybym nawet im powiedział, nie uwierzyliby. Ktoś podniesie z ziemi bryłę lodu i pierwszy rzuci w moją stronę. Każdy, kto wspomina o śmierci, uważany jest teraz za bluźniercę.

Koniec świata nastąpił we wtorek, dwunastego sierpnia około czwartej rano. Ja w tym czasie spałem twardo na prostym drewnianym tapczanie i nie miałem o niczym pojęcia. Gdyby ciekawość nie przygnała mnie wcześniej do klasztoru Prowenów, żyłbym pewnie w przekonaniu o własnym szczęściu, oplakując dalekich krewnych i znajomych. Oddałbym kilka lat życia, żeby móc to zmienić, ale nikt nie proponuje mi takiej transakcji.

Klasztor znajdował się na skraju Svericy, niewielkiej miejscowości u podnóża Gór Stromych. Zanim do niego dotarłem, kluczyłem długo wąskimi drogami, obok których co chwila otwierały się przepaście. Popsuta klimatyzacja samochodu chłodziła zbyt mocno, dlatego stanąłem przed bramą kamiennej budowli porządnie zmarznięty u schyłku upalnego dnia. Walcząc z dreszczami i chwiejąc się na nogach po kilkugodzinnej jeździe, musiałem wyglądać naprawdę marnie. Jak sądzę, to właśnie sprawiło, że napotkany zakonnik wpuścił mnie do środka.

Ten sam milczący człowiek wskazał mi drogę do celi, mieszczącej się w odległym skrzydle budynku, a potem przyniósł kolację. Nieco później pojawił się siwy, pomarsz-

czony na twarzy ojciec Stasys, pełniący tu funkcję lekarza, i zaordynował leki przeciw przeziębieniu. Pytał, skąd jestem i czym się zajmuję, a ja skłamałem, mówiąc, że pracuję w firmie ubezpieczeniowej. Uśmiechnął się pod nosem i usiadł na drewnianym krześle obok stołu. Próbowałem podnieść się z łóżka, ale Stasys powstrzymał mnie gestem i podał drugi koc, żebym się lepiej okrył.

Wiedział, że jestem dziennikarzem. Zakonnicy mieli w zwyczaju sprawdzać, kto ich odwiedza, więc włamali się do bazy danych pojazdów i odnaleźli rejestrację mojego samochodu. Stasys stwierdził, że moja obecność im nie przeszkadza, pod warunkiem że nie będę zadawał żadnych pytań. Ich nauka nie powinna się znaleźć w brukowcu, na dodatek zapewne w wypaczonej formie.

Próbowałem przekonać go, że trafiłem w to miejsce przypadkiem, ale nie chciał słuchać. Nie wierzył mi. Powtórzył tylko, że jeśli będę chory, mogę zostać kilka dni, bo najbliższy szpital jest daleko, ale zabronił opuszczania celi. Pokazał niewielką łazienkę mieszczącą się za ścianą i guzik nad oparciem łóżka, którym mogłem kogoś wezwać. Potem wyszedł, zatraskując za sobą ciężkie drzwi.

Usłyszałem szcęk zamka i od razu poczułem się jak więzień. Nie sądziłem, że gospodarze będą trzymać mnie tutaj wbrew mojej woli, ale i tak byłem wściekły. Nie potraktowałem serio tego, co mówiono o prowenach: że najważniejsza jest dla nich szybka i dokładna informacja, że nie odwracają się od techniki, ale wręcz przeciwnie, korzystają często z jej osiągnięć. Przez moją głupotę, przez to, że przyjechałem służbowym samochodem, mogli łatwo, chociaż nielegalnie, dowiedzieć się, kim jestem. Straciłem szansę na spokojne wypytanie kogoś i rozejrzenie się po okolicy.

Na dodatek trząsałem się z zimna pod grubym przykryciem, marząc, by następnego dnia przyniósł poprawę. Chyba

zaczynałem się starzeć, bo kiedyś taki wyjazd nie robił na mnie żadnego wrażenia. Zasnąłem wcześniej, zanim na zewnątrz zrobiło się całkiem ciemno. Była niedziela, dziesiąty sierpnia. Do Sądu Ostatecznego pozostało nam prawie półtorej doby. Miałem kolorowe sny, jak zawsze, kiedy trawił mnie gorączka.

W poniedziałek rano stwierdziłem z lekką konsternacją, że gdy spałem, ktoś przyniósł mi do pokoju śniadanie. Spod przymkniętych powiek obserwowałem ruchy komunikatora, który rozgrzał się chyba jak piec od przesłanych wiadomości i prób połączeń. Wibrując, sunął wolno po drewnianym stole, aż dotarł do talerza, o który zaczął się obijać. Narobił przy tym piekielnego hałasu, bo i talerz, i leżąca na nim łyżka wykonane były z aluminium. Wyłączyłem go wreszcie, nie odczytując listów mrugających do mnie barwnymi ikonami. Musiałem się skupić.

Kiedy brałem gorący prysznic, a potem jadłem posiłek i popijałem herbatę z termosu, rozmyślałem nad sytuacją. Zaczęła mnie zdumiewać arogancja, moja i Naczelnego, kiedy przekonywaliśmy się nawzajem, że zdobędę ten materiał bez problemu. Zakonnicy znani byli ze swojego przywiązania do intelektualnych ćwiczeń i nic nie wskazywało na to, że dadzą się podejść zwykłemu oszustowi.

Najwyraźniej obaj wyznawaliśmy zasadę, że świat jest pełen głupców. Wystarczy mieć przy sobie garść szklanych paciorków i mówić z przekonaniem, żeby otrzymać wszystko, czego się chce. Potem ze strzępków informacji układa się historię, która niekoniecznie musi być prawdziwa, byle tylko zawierała kilka egzotycznych wyrazów i sprawiała wrażenie nowości. Cynizm przeżarł nas jak pleśń.

Wiedziałem o prowenach bardzo mało. Zbyt mało, żeby móc się z nimi porozumieć. Jak zwykle nie przejmowałem się badaniem sprawy mającej posłużyć do napisania bzdury

pachnącej sensacją. Tymczasem mogło się okazać, że ten wyklęty przez papieża zakon to najciekawszy temat, na jaki trafiłem w życiu. Nawet jeśli ich kazania o końcu świata brzmiały dla mnie niedorzecznie.

Przecucie było tak silne, że postanowiłem zrobić wszystko, żeby pozostać w klasztorze. Przede wszystkim włączyłem ponownie komunikator i, po odcięciu poczty oraz linii telefonicznych, zacząłem szukać informacji w Synecie. Zalewała mnie rzadka, obrzydliwa papka, ale po dwóch czy trzech godzinach przeglądania serwisów dowiedziałem się znacznie więcej.

Zakon istniał od połowy ubiegłego wieku, a jego założycielką była Iva Palmi, dwudziestoletnia pielęgniarzka, pochodząca z ubogiej rodziny. Podawała się za wcielenie człowieka o nazwisku Prowe, policjanta z Rammy, który na kilka miesięcy przed śmiercią doznał serii religijnych objawień. Spisywał je w punktach i w formie traktatu publikował anonimowo w Synecie.

Iva opiekowała się Prowem, kiedy został ciężko ranny w strzelaninie. Twierdziła, że umierając, przekazał jej nie tylko swoją wiedzę, lecz również część osobowości. Wydawało się to szyte grubymi nićmi i typowe dla wszelakich sekt, jednak, zdaniem autora artykułu, ta prosta dziewczyna miała ogromną wiedzę, w tym również z dziedziny kryminalistyki. Znała także najróżniejsze szczegóły z życia Prowego oraz z powodzeniem podjęła się interpretacji jego tekstu.

Pikanterii dodawał fakt, że w sprawę, jako opiekun Ivy, zamieszany był doskonale znany mediom multimilioner i wynalazca, Sebastian Brams. Zakon prowenów został stworzony na fundamentach jego stowarzyszenia naukowego, które w przeszłości oskarżano między innymi o powiązania z lewicowym ekstremizmem. Sam zakon miał także kłopoty,

nie tylko z Watykanem, który od początku nastawiony był do niego bardzo negatywnie, lecz również z policją i tajnymi służbami. Ze wszystkich opresji wyszedł jednak zwycięsko i po blisko sześćdziesięciu latach istnienia nadal rósł w siłę.

Od samego początku zarzucano prowenom skrajne wypaczenie chrześcijańskiej idei równości. Twierdzili oni otwarcie, że zaledwie niewielka część ludzi dostąpi zbawienia z tej prostej przyczyny, iż tylko nieliczni spośród nas mają duszę. Znalazłem wypowiedź Ivy, w której szacowała ona, że co dziesiąty człowiek jest, jak to nazwała, Domem Boga. Na dodatek, z tych, którzy otrzymali duszę, nie wszyscy mieli być zbawieni. Postępując wbrew takim zasadom, jak umiłowanie prawdy czy dążenie do doskonałości, można było zabić w sobie boską cząstkę, czyli plazmat.

Nie bardzo rozumiałem tę koncepcję, ale proweni uważali, że Bóg jest tworem materialnym, podległym prawom fizyki, który żyje i replikuje się w ludzkim ciele. Miała to być materia samoświadoma, żywiąca się informacją przetwarzaną przez mózg. Z niej wziął początek cały znany nam wszechświat, a dzieło zbawienia polegało na ponownym rozmnożeniu się Boga i, jak sądzili, wchłonięciu przez niego kosmosu. Trwało ono nieprzerwanie na wszystkich planetach zamieszkanym przez istoty rozumne, bo tylko w połączeniu z nimi Bóg się odradzał.

Powoli zaczynałem rozumieć, dlaczego przy przyjmowaniu do zakonu nie pytano o religijne przekonania kandydata, za to wnikliwie badano jego IQ. Proweni wyznawali zasadę, że Bóg nie może zamieszkiwać umysłu ograniczonego i zaburzonego, dlatego nie tylko studiowali rozmaite dziedziny wiedzy, głównie matematykę, informatykę, medycynę i filozofię, lecz rozwijali też z powodzeniem kilka gałęzi nowoczesnej psychologii. Ich metody treningowe i psycho-terapeutyczne zdobyły ogromne uznanie, przyczyniając się

jednocześnie do wzrostu popularności tej grupy. Okazało się, że najlepsi psychologowie kliniczni w ostatnim dziesięcioleciu należeli do zakonu.

Od wielu lat nie mówiło się dużo o uczniach Prowego, bo propagowane przez nich samopoznanie i intensywna nauka nie miały w sobie nic atrakcyjnego dla mediów, nawet jeśli za tymi wartościami stało przekonanie, że tylko jedna z dziesięciu mijanych na ulicy osób ma szansę na zbawienie czy to, iż świadomość człowieka noszącego w sobie plazmat różni się diametralnie od jaźni ubogiej w ducha reszty społeczeństwa. Wystarczyło jednak, by któryś z ojców zakonu napisał w swojej książce o zbliżającym się końcu świata, a kilka gazet i stacji telewizyjnych natychmiast zainteresowało się sprawą.

Porządkowałem swoją wiedzę, próbując równocześnie znaleźć w Synecie kontrowersyjny tekst o Wielkim Holocaulście. Usłyszałem nagle odgłos kroków zbliżających się do drzwi, więc wyłączyłem komunikator i rzuciłem się na łóżko. Miałem nadzieję, że ojciec Stasys pozwoli mi zostać choć jeden dzień dłużej, że jeszcze nie przyszła na mnie pora, ale musiałem przełknąć gorycz zawodu.

Było coś w tonie jego głosu, co odbierało rozmówcy pewność siebie. Kiedy zaprosił mnie do stołu i jedliśmy wspólnie, nie mogłem przerwać kłopotliwego milczenia. Od razu poczułem, że jest to spożywana zbyt wcześnie ostatnia wieczerza, którą nazwałem w myślach ostatnim lunchem. Stasys polecił, żebym przygotował się do drogi, ale nie chciał wyjawiać powodów tej decyzji – stwierdził tylko, że są ważne. Wspomniał wtedy o oczekiwaniu i spełniającym się proroctwie, które pozostanie zakryte przed ludźmi. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że właśnie ten moment odmienił całkiem mój los.

Na pożegnanie życzył mi, by jutrzejszy dzień okazał się szczęśliwy. Nie słyszałem dobrze jego słów, zagłuszył je warkot uruchamianego silnika. Poza tym rozsadzała mnie wściekłość, której nawet nie próbowałem ukryć. Zostałem nie tylko ośmieszony, lecz również zwiedziony obietnicą pomocy, która nie miała pokrycia. Tak właśnie myślałem, jadąc z klasztoru w kierunku położonej w dolinie Svericy. W innych okolicznościach pewnie podziwiałbym piękno gór albo wdał się z kimś w długą rozmowę przez telefon, zamiast tego przecierałem spocone czoło i wpatrywałem się z wysiłkiem w szarą wstęgę szosy.

Po przeciwnej stronie miasteczka znalazłem niewielki pensjonat i zapłaciłem z góry za trzy dni, mając nadzieję, że coś wymyślę. Chciałem wypytać mieszkańców o kontakty z zakonem i wyłuskać jakieś mniej znane, istotne fakty. Moja pierwsza próba spełzła jednak na niczym. Właścicielka pensjonatu, niemłoda już kobieta, była za bardzo zmęczona upałami, by silić się na rozmowę. Wskazała mi pokój na piętrze i wycofała się szybko do siebie. Siedziałem na twarzym, przykrytym kocem tapczanie, słuchając przez ścianę krzyków jakiegoś dziecka i chłodząc twarz przy małym wiatraczku. Tego dnia dałem za wygraną.

Wieczorem głos Naczelnego pobudził mnie boleśnie do działania. Jeszcze nigdy nie słyszałem w jego ustach tylu przekleństw i oskarżeń o lenistwo, nawet gdy przegapiliśmy małżeńską zdradę prezydenta. Rozwścieczony, kazałem mu iść do diabła, ale po tej kłótni nie potrafiłem się uspokoić. Znowu zacząłem szperać w Synecie i trafiłem wreszcie na oficjalną stronę prowenów. Interesująca mnie książka była, tak jak przypuszczałem, zbyt trudna dla laika, ale zamieszczony na tej samej stronie wywiad niejakiego Wima Gebera z ojcem Danielem Herbstem pomógł mi zrozumieć najważniejszą kwestię.

W.G.: Przez wiele lat pełnił ojciec funkcję rzecznika prawnego zakonu prowenów i odpowiedzialny był za kreowanie jego wizerunku w mediach. Skąd zatem decyzja o wycofaniu się z życia publicznego i poświęceniu pracy naukowej?

D.H.: Funkcja rzecznika ma charakter przechodni, ponieważ zdajemy sobie sprawę, że wpływa ograniczająco na pełniącą ją osobę. Dotychczasowy model życia nie gwarantował mi pełnego intelektualnego i emocjonalnego rozwoju. Mam wrażenie, że dopiero od kilku lat, prowadząc między innymi zajęcia z analizy małych grup, zacząłem żyć świadomie.

W.G.: Czy ojciec podziela opinię wyrażoną w tekście Luciusa Kleina, że tak zwany „duchowy koniec świata” nastąpi w bardzo bliskiej przyszłości? Czy jest to oficjalne stanowisko zakonu?

D.H.: Zakon odznacza się bardzo nikiłym uporządkowaniem instytucjonalnym. W związku z tym trudno mówić o czymś takim, jak oficjalne stanowisko. Staramy się nie narzucać nikomu przekonań w żadnej dziedzinie. Jednak to, o czym pan wspomniał, jest opinią większości z nas. Do takich wniosków skłaniają zarówno prowadzone od dawna obserwacje socjologiczne, jak i obliczenia teofizyków.

W.G.: Jak najkrócej określiłby ojciec naturę tego zjawiska?

D.H.: Stawia pan przede mną niewykonalne zadanie. Nie da się streścić pogłębianej latami wiedzy tak, by jej nie zafałszować. Proszę pomyśleć, jak wyglądałoby streszczenie Kodeksu cywilnego w dziesięciu zdaniach. A jeśli weźmiemy nawet pojedyncze twierdzenie, pamiętajmy, że słowa wyrwane z kontekstu stają się płaskie.

W.G.: Istnieje jednak jakieś sedno tej hipotezy, które da się wyrazić bez zgłębiania wszystkich dodatkowych sensów i filozoficzno-religijnych kontekstów.

D.H.: Rozumuje pan w sposób, który zdaniem Luciusa uniemożliwia zbawienie. Jest to tak zwane podzielenie świata. Próbuje pan skłonić mnie do wyciągnięcia z tej teorii ekstraktu i wyłożenia go czytelnikom, chociaż brakuje im

odpowiedniego punktu odniesienia. Lecz skłamałbym, mówiąc, że nie spodziewałem się tego rodzaju pytań. Świadomie godzę się na nie, tak jak akceptuję towarzyszące im trudności. Chciałbym jednak najpierw sam zadać pewne pytanie.

W.G.: Proszę bardzo. Zastrzegam sobie jednak prawo do krótkiej odpowiedzi.

D.H.: Pytanie, rzecz jasna, dotyczy kwestii religijnych. Mówiąc najprościej, chodzi mi o pana wyobrażenie na temat Ducha Świętego. Przed tą rozmową celowo pytałem wszystkich o wyznanie i pan zadeklarował się jako katolik. Sądzę więc, że ma pan jakąś własną hipotezę na temat, kim lub czym jest Duch Święty.

W.G.: Rozczaruję ojca, ale nie mam wiele do powiedzenia w tej sprawie. Nie należę do gorliwych wyznawców ani do badaczy Pisma Świętego. Duch Święty to część Trójcy, która występuje w Biblii jako biała gołębica i płonący krzew. I dar języków, którego w ogóle nie rozumiem. Kiedyś nawet próbowałem zastanawiać się nad tym, ale doszedłem do wniosku, że chrześcijanie nazywali Duchem Świętym natchnienie czerpane z głębokiej wiary. Albo siłę moralną, którą przeciwstawiali zewnętrznemu uciskowi.

D.H.: Otóż nic bardziej błędnego. Nie dziwię się, że ma pan kłopoty ze sformułowaniem jakiejś teorii na ten temat, że porusza się pan w obszarze kilku stereotypowych wyobrażeń i skojarzeń. To zasługa Kościoła, który – naszym zdaniem – świadomie oddziela wiernych od wiedzy, od *gnosis*.

Duch Święty to najważniejsza postać Boga, ponieważ jest to postać stale obecna na Ziemi. Nazywamy ją plazmatem i, jak pan z pewnością wie, twierdzimy, że rozwija się w części z nas. Bóg Ojciec, czyli pierwotny byt sprzed powstania znanego wszechświata, dał początek materii, przemieniając się w nią w gwałtownej reakcji. Syn Boży, czyli Zbawiciel, stanowi okresową kondensację plazmatu, która przyspiesza rozwój duchowy ludzkości. Ale tylko Duch Święty, będący

sumą wszystkich pojedynczych dusz, przebywa tu stale i bezpośrednio wpływa na nasze życie.

W.G.: W jaki sposób? Czy nie kłóci się to z pojęciem wolnej woli?

D.H.: Nie, ponieważ dusza nie zmusza człowieka do czynienia dobra, lecz odpowiedzialna jest za powstawanie w nim pewnych potrzeb czy pragnień. Uważamy, że naturą Boga jest informacja, dlatego najważniejsza potrzeba z nim związana to potrzeba poznania prawdy, dążenie do wiedzy. Śmiem twierdzić, że należy stawiać ją wyraźnie przed miłością, która jest tylko jedną z wielu przeżywanych emocji.

Nie da się ukryć, że wciągnąłem pana w ten wykład po to, by naszkicować tło do odpowiedzi na postawione pytanie. Otóż zjawisko opisane przez Kleina to odpowiednik tego, co chrześcijanie nazywają Sądem Ostatecznym. Naszym zdaniem plazmat ma charakter materialny, choć umyka ludzkiemu poznaniu. Wraz z przyrostem naturalnym i rozwojem intelektualnym ludzkości zwiększa swoją objętość, aż do osiągnięcia pewnej wartości krytycznej, po której przekroczeniu oddzieli się od ciała i opuści Ziemię.

Zarzuci mi pan pewnie, że to czysto mechanistyczne podejście, ale moim zdaniem to dokładniejszy opis tego, co nasi przodkowie próbowali jedynie bardzo nieudolnie nazwać. Najwięksi uczeni skupieni w katedrze teofizyki potwierdzili matematycznie, że masa krytyczna została już prawie osiągnięta i narodziny jednego dziecka, prawdopodobnie nowego Zbawiciela, mogą wywołać reakcję. Spodziewają się tego jeszcze w tym roku, co – powiem szczerze – nawet we mnie budzi niepokój.

W.G.: A zatem mamy się przygotowywać na koniec świata... Czy nadejdą jakieś znaki, zwiastuny tych zmian? Czy Ziemia ulegnie zniszczeniu jak w biblijnej Apokalipsie?

D.H.: Tego, jak sądzę, nie wie nikt. Nawet najdłużej medytujący i najbardziej oświeceni członkowie zakonu nie odważyli się dokładnie zapowiedzieć, co się stanie.

Przypuszczamy jednak, że umrą tylko nieliczni. Świat może nie rozpoznać końca świata, jakkolwiek by to zabrzmiało. Używając metafory, powiem, że światło odejdzie wraz z tymi, którzy mieli oczy. A przecież dla innych jego obecność nigdy nie miała znaczenia.

Proroctwa są jak zapałki. Gasną po chwili, a trzymające je kurczowo ludzie parzą sobie palce. Wystarczy mały podmuch, przeciąg z uchylonego okna, by wszystko się skończyło. Jednak co jakiś czas zapałka wypada z ręki przeżalonego dziecka albo wyrachowanego podpalacza. Coś zaczyna się tlić lub od razu wybucha wielki pożar. Od tej zapałki płoną wyschnięte wnętrzności.

Nie mam zbyt wiele czasu, żeby zastanawiać się nad swoją przemianą. Szukam jedzenia, pilnuję miejsca w noclegowni, bo w zimie nikt nie przeżyje na ulicy. Czasy przed apokalipsą wydają mi się nierealne, jak holograficzne reklamy ciepłych krajów. Poruszam się wolno, żeby nie tracić za dużo energii. Ubieram się w przypadkowe rzeczy i pewnie też bełkoczę do siebie, ale trudno to uchwycić, jeszcze trudniej niż własne chrapanie.

Widzę gdzieś w otaczającej mnie ciemności twarz Naczelnego, który wyrzuca mnie z pracy, w chwili gdy powinien paść na ziemię i błagać Boga o litościwą śmierć. Widzę zdziwienie komornika składającego mi wizytę w domu, kiedy pokornie godzę się na zajęcie. Oczy psychiatrów, dziwne uśmiechy urzędniczek, pomarszczone dłonie kucharki, którymi podaje talerz ciepłej zupy. A wszystko to nie ma żadnego znaczenia.

Boję się mówić o tym, co pamiętam, bo nikt mnie nie rozumie. Podobno po Dniu Sądu wielu ludzi straciło zmysły i popadło w paranoję, lecz ci, których spotykałem, nic nie wiedzą. Mówią coś o klątwach, broni biologicznej i najeźdźcach z kosmosu. Aż się robi niedobrze od tych bzdur. Kiedy uświadamiam sobie, że to ja i mnie podobni kształtowaliśmy

przez dziesiątki lat tę chorą wyobraźnię, chce mi się śmiać. I nagle zaczynam rozumieć, że zbieg okoliczności to złudzenie, które oddziela nas od prawdy, bo wszyscy dostajemy dokładnie to, co chcemy wziąć od Boga. A raczej dostawaliśmy, zanim nas opuścił.

We wtorek, dwunastego sierpnia obudziłem się wcześniej, kilka minut po piątej. Słońce przebijało przez zasunięte żaluzje i oślepiało mnie. Próbowałem zasnąć, ale niepokój powrócił, gdy pod poduszką znalazłem swój komunikator. Sen zmoczył mnie wieczorem w trakcie przeglądania serwisów i potem tylko jakimś cudem nie zgmiotłem delikatnego urządzenia.

W domu panowała cisza. Otworzyłem okno, żeby poddychać górskim powietrzem i popatrzeć na majestatyczne ciemnozielone zbocze. Wierzchołek Koryni ginął we mgle. Gdzieś niedaleko musiały stać ule, bo kręciło się tu mnóstwo pszczoł. Czułem, że za godzinę lub dwie upał stanie się znowu nie do wytrzymania. Czułem też dziwne przygnębienie. Może zaczynałem pojmować, że wczorajsza kłótnia z Naczelnym groziła katastrofą. Może słowa Herbsta poruszyły we mnie kilka od dawna nieporuszanych strun.

Widok z okna, który początkowo działał kojąco, stał się nagle trudny do zniesienia. Założyłem dzinsy i zszedłem cicho na parter, gdzie znajdowała się kuchnia. Było pusto, więc bez pytania znalazłem jakiś kubek i zaparzyłem herbatę. Wróciłem do pokoju i włączyłem mały telewizor, stojący na przykrytej obrusem komodzie. Właśnie nadawali program informacyjny na żywo, ale nie mogłem poradzić sobie z regulacją głosu. Odłożyłem pilota i zwiększyłem głośność za pomocą przycisków telewizora. Spikerka mówiła coś o zbieraniu danych i panice, która zatacza coraz szersze kręgi. Pokazywano jakieś duże miasto, chyba Rammę, gdzie w sporym korku, niespotykanym tak wcześniej, przebijały się karetki na sygnale. Nie mogłem pojąć, co się stało.

Po chwili dotarło do mnie, że przez kraj przetoczyła się fala zgonów, które na razie nie znajdowały wyjaśnienia. Ludzie umierali nad ranem, zazwyczaj na udar mózgu lub inne zaburzenia układu krążenia. Niewielka grupa dotkniętych „śmiercią we śnie” przeżyła, ale została całkowicie sparaliżowana. W narastającym chaosie próbowano liczyć przypadki i nieść pomoc, stawało się to jednak prawie niemożliwe. Na dole ekranu pojawił się pasek z doniesieniami ze świata, które okazały się nie do przyjęcia. Tej nocy na całej ziemi z niewyjaśnionych przyczyn umierały dziesiątki milionów ludzi.

Przed oczami migały mi coraz straszniejsze obrazy. Przewalające się po ulicach tłumy, pożary domów i leżące na chodnikach zwłoki. Według komentatorów miał miejsce atak terrorystyczny z użyciem jakiejś supernowoczesnej broni, prawdopodobnie promieniowania wysyłanego przez satelitę. Wyrwani ze snu politycy uspokajali, naukowcy próbowali budować hipotezy, wojskowi zaprzeczali. Nikt nie wiedział, co się stało i czy to samo nie powtórzy się za chwilę. Wszystkie działające jeszcze stacje nadawały właściwie identyczny program. Zacząłem się śmiać do siebie, jakbym postradał zmysły. Potem rzuciłem się na łóżko i leżałem nieruchomo, słuchając dalszych doniesień.

Zjawisko było niezrozumiałe, bo śmierć atakowała czasem całe rodziny, czasem tylko pojedyncze osoby, a bywało, że spore obszary pozostawały nietknięte. Wyobrażenia zaczęła podsuwać mi różne obrazy. Na przykład widok wielkiego lotniska, gdzie wszyscy pasażerowie leżą martwi, albo obraz żony budzącej się rano obok zimnego męża, który wieczorem czuł się świetnie i prasował koszulę do pracy. I nagle zdałem sobie sprawę, że powinienem do kogoś zadzwonić, że pewnie wszyscy ludzie próbują teraz skontaktować się z bliskimi, a ja nie sięgnąłem nawet po telefon. Okazało się, że nikt nie był dla mnie aż tak ważny. Kiedy to zrozumiałem, coś się we mnie skurczyło.

Zwymiotowałem wypitą herbatę i na trzęsących się nogach zacząłem biegać po domu. Rodziny, której dziecko hałasowało wieczorem za ścianą, nie zastałem. Pokój był pusty. Za to gospodynię odnalazłem na grządce za domem. Pielęła spokojnie ogródek, nic nie wiedząc o monsturalnej katastrofie. Próbowałem jej coś wytłumaczyć, ale chyba nic nie zrozumiała i przeraziła się głównie moim wyglądem. To nie miało żadnego sensu, więc wycofałem się do domu. Opętała mnie myśl, że muszę natychmiast pojechać do klasztoru. Porwałem z pokoju torbę i pognałem do samochodu.

Sverica jeszcze spała, na ulicach nie widać było ludzi. Wydawało się, że śmierć ominęła to piękne miejsce, bo panował tu niepodzielnie sen. Przejechałem główną aleją i nie dostrzegłem żadnych oznak kataklizmu. Na polu, za granicą miasteczka dziecko prowadziło stado krów. Szczekający głośno kundel przez chwilę ścigał mój samochód.

Wyłączyłem radio, w którym działało się dokładnie to samo, co w telewizji. Zamiast słuchać tego bełkotu, czujnie się rozglądałem. Kilka kilometrów dalej, w połowie drogi do klasztoru, zauważyłem na poboczu przewrócony motor. Zatrzymałem się. W rowie leżał przykryty skórzaną torbą listonosz. Z daleka widać było, że nie upił się – jak być może miał w zwyczaju – lecz nie oddycha. Przez głowę przebiegła mi absurdalna myśl, żeby ukraść jego torbę, ale zawróciłem i ruszyłem dalej. Droga pięła się pod górę, w uszach czułem gwałtowne zmiany ciśnienia, jednak ledwie to zauważałem.

Kwadrans po szóstej stanąłem przed lekko uchyloną bramą klasztoru, jakby ktoś zapomniał ją zamknąć. Przeciąłem niewielki dziedziniec i dopadłem do jakichś drzwi, które okazały się zamknięte. Następne tak samo. I następne. Kląłem w żywy kamień, bo taka przeszkoda wydawała się w tej sytuacji zupełnie absurdalna. Ludzie giną jak muchy, przy szosie leży martwy człowiek, a ja nie

mogę poradzić sobie z drzwiami, bo nie znam się na niczym, oprócz pisania i kręactwa. Pomyślałem, że bycie kimś takim jest żalosne, że moje umiejętności wystarczają tylko w sytuacjach, które znam od lat. Poza nimi byłem bezbronny jak dziecko.

Może to absurdalne, że zastanawiałem się nad tym właśnie wtedy, ale przez głowę przelatowały mi setki myśli. Ktoś spuścił je z łańcucha i zachowywały się jak wygłodniałe psy. Każda kąsała mnie od innej strony. Cztery miesiące później wszystkie umarły w najdalszym kącie czaszki i zastąpiła je ciemność, wtedy jednak miałem wrażenie, że rozsada mnie od środka. Walilem jak oszalały w żelazne drzwi, aż jedno z nich ustąpiło, ukazując wąskie przejście do ogrodu.

Klasztor wydawał się pusty. Ani na dziedzińcu, który zostawiłem za sobą, ani w korytarzu prowadzącym na tyły budowli nie dostrzegłem nikogo z mieszkańców. Dwa dni wcześniej, w drodze do celi, mijałem przecież kilkanaście osób. Ogarniał mnie coraz większy lęk. Wszedłem do ogrodu, czując lodowate dreszcze, wędrujące po kręgosłupie.

Ogród, otoczony wysokim murem oraz skalną ścianą, tworzył wraz z budynkiem coś na kształt wydłużonej ósemki. Teraz znalazłem się w środku większej pętli. Minąłem niewielki utwardzony plac, służący zapewne do ćwiczeń, kilka rzędów drzew owocowych, głównie jabłoni, i dostrzegłem jakiś ruch w dużej, pomalowanej na biało szklarni. Ruszyłem w tamtym kierunku, nie myśląc o tym, co się stanie, nie układając w głowie żadnych słów. Chciałem słuchać i zrozumieć wszystko do końca.

Rozpoznałem jego postać, zanim się odwrócił. Ojciec Stasys nie miał na sobie habitu, ubrany był w robocze spodnie i bawełnianą koszulę, ale wiedziałem, że to on. Podwiązywał łamiące się pędy pomidorów, a ja czekałem przy wejściu, aż skończy. Zauważył mnie po chwili, odłożył